ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Sierpnia. № 35. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Ustęp z dziennika podróży młodego Anglika.

(Dokończenie. Ob. Nr. 32. 33. 34. Rozmaitości.)

IV.

W kilka dni potém zdarzył mi się inny wypadek i począłem myślić, że przeznaczeniem mojém było zostać bohatyrem.

Mały nasz oddział postępował ciągle naprzód. Chcieliśmy przybyć do Santa-Fé, dniem lub dwoma piérwéj nim reszta karawany, żeby się wprzód ułożyć z gubernatorem i załatwić wszelkie trudności, co do wpuszczenia naszych wagonów do stolicy. Droga nasza szła przez *Cimmaron.*

Sto mil prawie jechaliśmy przez bezpłodną pustynię, wśród któréj nie było ani śladu zwierzyny, a co gorsza, dał nam się uczuć zupełny brak wody. Bawoły zniknęły całkiem, a daniela zrzadka tylko dostrzedz można było. Musieliśmy tedy poprzestać na suszoném mięsie, które wzięliśmy ze sobą z Saint-Louis. Byliśmy śród pustyni zwanéj *Artemizya.* Od czasu do czasu, mignęła nam się zdala antylopa biegnąca w wesołych poskokach, ale nigdy nie zbliżyła się na strzał. Zwierzyna ta zdawała się tutaj jeszcze płochliwsza jak zazwyczaj.

Trzeciego dnia, gdyśmy przeciągali niedalego *Cimmaronu*, zdawało mi się że w jedném zagięciu łąki dojźrzałem rogatéj głowy. Towarzysze moi nie dowierzali moim oczom, i żaden niechciał mi towarzyszyć.

Pojechałem tedy samotrzeć. Ponieważ Gode wyprzedził był znacznie karawanę, przeto jeden z towarzyszy podjął się prowadzić mego psa, którego chciałem zostawić, bojąc się żeby mi antylop nie płoszył. Koń mój był świeży i pełen ognia, na wszelki więc przypadek czy mi się uda polowanie, lub nie, wiedziałem że mi łatwo będzie dognać karawanę na piérwszém stanowisku.

Zmierzałem prosto ku miejscu, w którém zniknął mi przedmiot dostrzeżony, a które zdało mi się mniéj więcéj o pół mili oddalone od drogi. Jednakże wkrótce przekonałem się, że odległość była daleko większa; — zwykłe to złudzenie przejrzystéj tamtych krain atmosfery.

Szczególnego kształtu wyniosłość, którą tutaj zwykle nazywają *nożem*, przecinała płaszczyznę ze wschodu na za-

chód; szpaler kaktusów pokrywał szczyt téj wyniosłości. Skierowałem tedy konia ku owemu szpalerowi.

U stóp pagórka zsiadłem z konia, i wprowadziwszy go między kaktusy, uwiązałem do jednéj gałęzi; poczém ostrożnie stąpając wśród kolczatych liści, skradałem się zwolna ku miejscu, gdzie mi się zdawało, żem widział głowę zwierzęcia. Z wielką radością ujźrzałem nie jednę antylopę, ale całe stadko pasące się swobodnie. Niestety! zadaleko były, żeby je mój strzał mógł dosięgnąć! Na całéj przestrzeni między niemi a mną nie było ani jednego krzaka, pod którego zasłoną mógłbym się ku nim podsunąć. Co tu począć?...

Począłem przechodzić w myśli wszystkie rodzaje myśliwskich podstępów używanych na antylopy. Czy ich głos naśladować? Czy je zwabić powiewając chustką od nosa?... Ale zauważałem że były nader płochliwe, i ciągle zwracały na wszystkie strony śliczne swoje główki, oglądając się do koła z niecierpliwością.... Przypomniałem sobie wreszcie, że mój czaprak był czerwony; przyszło mi więc na myśl, żeby je przynęcić rozwieszając go na krzakach.

Nie widząc innego środka już miałem wykonać mój zamiar, gdy nagle wzrok mój padł na jakąś linię nagiéj ziemi, przecinającą łąkę między mną a zwierzyną. Była-to rozpadlina wśród powierzchni płaszczyzny, droga bawola, czy łożysko strumyka. Jedném słowem, była-to właśnie zasłona jakiéj potrzebowałem, gdyż antylopy nie były od niéj jak o sto yardów, a jeszcze ciągle, pogryzając trawę zbliżały się ku niéj.

Wyszedłszy tedy z krzaków, począłem się pleźć wzdłuż wzgórza, aż do punktu, w którym rozpadlina była najwyraźniejsza. Dopełznąwszy tam, z podziwieniem znalazłem się nad brzegiem szerokiego *arroyo*, którego woda przejrzysta i płytka zwolna płynęła po dnie piasczystém i gipsowatém. — Brzegi jego nie wznosiły się wyżéj jak na trzy stopy nad poziom wody, wyjąwszy miejsce w którém strumień przecinał ów wzgórek. Tam wysokość ich była dosyć znaczna;— musiałem brnąć w górę strumienia.

Szedłem tak aż do punktu, w którym brzeg był najwyższy. Tutaj zatrzymałem się, i z wszelką ostrożnością wyjźrzałem po nad pagórek. Antylopy były już na mały tylko strzał od *arroya*, ale jeszcze daleko ode mnie. Ciągle pasły się spokojnie nieprzeczuwając niebezpieczeństwa. Począłem tedy brnąć daléj.

Była-to droga niezmiernie nużąca. Dno strumienia było miękkie i usuwało mi się pod nogami za każdym krokiem, a tu trzeba było wystrzegać się najmniejszego szelestu, żeby nie spłoszyć zwierzyny. Pocieszałem się tylko myślą, że będę miał świéżą zwierzynę na kolacyą.

Uszedłszy z największą trudnością ze sto yardów, ujźrzałem się na prost małego krzaka absyntu rosnącego tuż nad strumieniem. — „Już jestem dosyć blisko, pomyślałem sobie, — a ten krzak zakryje mię wybornie.“

Powoli zbliżyłem się i stanąłem tak, że mogłem widzieć wskroś liści. Pozycya była wyborna.

Sparłem fuzyę na gałęzi, i zmierzywszy w serce samca spuściłem kurek. Zwierz podskoczył i upadł na bok bez życia.

Już miałem skoczyć po moją zdobycz, gdy spostrzegłem, że samica zamiast uciekać, zbliżyła się do leżącego towarzysza, i obwąchała niespokojnie wszystkie części jego ciała. Nie była ode mnie daléj jak o 20 yardów, mogłem więc doskonale widziéć wyraz niepokoju i zadziwienia malujący się w jéj oczach. Naraz zdało się, że pojęła smutną prawdę, bo odrzuciwszy głowę w tył, poczęła wydawać żałosne krzyki i biegać około zwłok samca.

W piérwszéj chwili, chciałem zaraz nabić powtórnie i ubić samicę, — ale jéj głos żałosny rozbroił mię a nawet rozczulił. Gdybym był wiedział, że mię czeka taki smutny widok, byłbym się odrzekł całego tego polowania. Ale co się stało, odstać się już nie mogło. Zresztą pomyślałem sobie: „Wyrządziłem jéj więcéj złego, niż żebym jéj saméj był życie odebrał, — i teraz co najlepszego zrobić mogę, to chyba to, żeby i ją zabić!“

I w skutek tego pełnego ludzkości rozumowania, zatrzymałem się jeszcze chwilę, nabiłem strzelbę, złożyłem się — i zagrzmiał wystrzał.

Gdy dym opadł, ujźrzałem biedaczkę skrwawioną, leżącą na trawniku, z głową wspartą na zwłokach samca.

Wziąłem strzelbę na ramię, i zabierałem się iść po zwierzynę, gdy w tém z zadziwieniem poczułem, że mię coś trzyma za nogi; — zdało mi się jakbym je miał ujęte w kleszcze.

Chciałem się uwolnić z tych więzów, ale nadaremnie; — powtórzyłem moje usiłowania z większą gwałtownością, ale także bez skutku, — a za trzecią razą straciłem równowagę i upadłem na wznak we wodę, która mię zalała. Podniosłszy się z trudem, poznałem że położenie moje w niczém się nie polepszyło.

Począłem się tedy znów miotać chcąc oswobodzić nogi, ale napróżno: niemogłem ich poruszyć ani w tył ani naprzód, ani w lewo, ani w prawo, — co gorsza postrzegłem, że się zapadam coraz głębiéj. Wtedy ujźrzałem przed sobą straszną prawdę: *tonąłem w piasku ruchomym.*

Uczucie przestrachu na wskróś mię przeniknęło. Ponowiłem moje usiłowania z całą energią rozpaczy — przechylałem się to na jednę to na drugą stronę, chcąc się oswobodzić, ale nogi moje ciągle były jednako uwięzione, — nie mogłem ich ani na cal poruszyć.

Elastyczny piasek obległ mocno moje buty z psiéj skóry, i obcisnął je tak mocno około kostek, że na żaden sposób nie mogłem wyjąć nogi, i czułem że się zagłębiam coraz bardziéj, — zwolna ale z pewnością, ciągle, jak gdyby jaka podziemna poczwara ciągnęła mię powoli ku sobie. Dreszcz mię przeszedł, począłem wołać o pomoc, ale któż mię mógł usłyszéć?... Na kilka może mil wokoło, nie było żywéj duszy, — i tylko rżenie mego konia zabrzmiało mi od pagórka, jakby śmiech szyderczy z mojéj rozpaczy.

Schyliłem się naprzód, jak tylko mogłem najbardziéj, i począłem konwulsyj-

nie odgrzebywać piasek rękoma; ale zaledwie potrafiłem go dostać końcami palców. a lekkie bruzdy, jakie zdołałem tym sposobem w nim wyżłobić. natychmiast się wyrównywały na powrót.

Przyszło mi na myśl, że strzelba położona na poprzek będzie mię mogła przynajmniéj powstrzymać od dalszego zapadania. Począłem jéj tedy szukać koło siebie, — ale nie było jéj nigdzie, — utonęła w piasku.

Myślałem się położyć na ziemi i tym sposobem się zabezpieczyć; — ale cóż, kiedy pode mną było wody na dwie stopy; byłbym się utopił.

Była-to ostatnia dla mnie nadzieja, która tak prędko znikła jak i zabłysła. Nie widziałem już żadnego środka ratunku. nie byłem już nawet zdolny do dalszych wysileń. Dziwna otrętwiałość opanowała mię. Umysł mój sparaliżowany został — czułem, że mię się chwyta szaleństwo — i na chwilę stałem się całkiem obłąkanym.

Niedługo jednak odzyskałem zmysły, i usiłowałem przemódz bezwładność umysłu, żeby przynajmniéj jak na człowieka przystoi, oczekiwać niechybnéj śmierci, którą widziałem przed sobą.

Wyprostowałem się. Wzrok mój sięgał jeszcze na łąkę, i zatrzymał się na krwawych ofiarach mego okrucieństwa. Zadrżałem na ten widok. To co mię spotkało. miałożby być karą bożą?...

Z pokornem uczuciem serdecznéj skruchy podniosłem oczy ku niebu, jak gdybym lękał się dojźrzéć na niém znaków gniewu boskiego. Słońce świeciło jasno jak przedtém, i ani jedna chmurka nie plamiła lazurowego sklepienia.

Począłem się modlić z takiém podniesieniem ducha, i z takim zapałem, o jakim wyobrażenie mogą mieć tylko ci, którzy się w podobném jak ja znajdowali położeniu.

Gdym tak patrzał jakiś czas w górę, zwrócił moję uwagę jakiś przedmiot rysujący się w powietrzu. Wkrótce na błękitném tle nieba dojźrzałem kształtów wielkiego ptaka, i niebawem poznałem, że to był brudny ptak równin, *sęp błotny*. Zkąd się tu wziął? Któż to zgadnąć może? Z odległości niezmierzonéj dla wzroku ludzkiego, on dostrzegł, czy poczuł ścierwo antylop, i zwolna na szerokich skrzydłach spuszczał się, dążąc na ucztę śmierci.

Niezadługo, drugi, trzeci i czwarty, a nareszcie cała chmura sępów ukazała się na tle niebieskiego stropu, i zataczając szerokie koła, zwolna i cicho zniżała się ku ziemi. Te które piérwsze przybyły, usiadły najprzód na brzegach strumienia, obejźrzały się do koła i poleciały usiąść na ponętnéj zdobyczy.

W kilka chwil potém, cała łąka poczerniała od brudnego ptastwa, które objadłszy trupy antylop biło po powietrzu skrzydłami, zagłębiając w ścierwo niechlujne dzioby.

Potém przyszły kupą wilki wychudłe, zgłodniałe i straszne, a wymknąwszy się z pośród kaktusów, skradały się chyłkiem jak złodzieje. — Zawiązała się krótka walka, wskutek któréj sępy musiały ustąpić. a wilki rzuciły się na zdobycz, i

wydzierając ją sobie, warcząc jedne na drugie, rozszarpały ją w kawałki.

— „Dzięki Bogu, pomyślałem sobie, — ja przynajmniéj niemam powodu obawiać się podobnego losu.“

Wkrótce uwolniony zostałem od tego straszliwego widoku. Osuwałem się tak, że oczy moje zrównały się z linią brzegu. Po raz ostatni spojźrzałem na zielony kobierzec łąki, i już potém nie widziałem nic, tylko ściany ziemi które obejmowały strumień, i wodę swobodnie około mnie płynącą.

Podniosłem jeszcze raz oczy ku niebu i z sercem pełném modlitwy, postanowiłem spokojnie poddać się memu przeznaczeniu.

Jakby na złość moim usiłowaniom ku uzbrojeniu się w spokojność, wspomnienia rozkoszy ziemskich, rodziny i przyjaciół, obsiadły mię uporczywie i pobudzały do nowych gorączkowych wysileń, zawsze nadaremnych.

Usłyszałem znów rżenie konia.

Nagle uderzyła mię jedna myśl i nadzieja we mnie ożyła — „Może mój koń ..“

Nie traciłem ani chwili czasu. Podniósłem głos, jak tylko mogłem najsilniéj i zawołałem mego Moro po imieniu. Przywiązałem go był wprawdzie, ale lekko. Krucha gałęź kaktusa łatwo mogła się odłamać. — Powtórzyłem jeszcze mój okrzyk, dodając doń wyrazy, któremi się zwykle z nim pieściłem. Przez chwilę była cisza — potém usłyszałem gwałtowne uderzenia kopyt, z których poznałem, że koń szamocze się chcąc się urwać, poczém tętęt regularnego galopu uderzył moje ucho.

Tętęt zbliżał się coraz, i coraz stawał się wyraźniejszy; nareszcie szlachetny Moro ukazał się na brzegu wprost nade mną. Zatrzymał się i wyciągając szyję, zarżał głośno. Zdawał się zdziwiony, poglądał do koła i parskał silnie.

Wiedziałem, że jak skoro mię tylko obaczy, nie wytrzyma, żeby nozdrzami nie dotknął mego policzka, jak to miał we zwyczaju. Wyciągnąłem tedy ręce ku niemu i powtórzyłem czarodziejskie słowa.

Wtedy spojźrzał na dół, spostrzegł mię i jednym skokiem był już w kanale. Za chwilę trzymałem go za uzdę.

Nie było czasu do stracenia. Woda sięgała mi już pod pachy. Chwyciłem powróz i przeciągnąwszy go pod popręg zawiązałem mocno na węzeł, a drugim końcem okręciłem się w pół ciała, zostawiwszy go na tyle, abym nim mógł popędzić lub pokierować konia, w razie, gdyby do wydobycia mię potrzeba było wielkich wysileń.

Podczas tych wszystkich przygotowań, koń stał nieporuszony, jakby pojmował, co robiłem. Znał także widać naturę gruntu, na którym stał, gdyż przez ciąg całéj téj operacyi, przestępował bezustannie z nogi na nogę, bojąc się by go piasek nie przychwycił.

Nareszcie wszystko było gotowe, i z uczuciem straszliwego niepokoju, dałem znak koniowi, żeby ruszył z miejsca. Zamiast poskoczyć nagle, szlachetne zwierzę jakby pojmowało moje położenie, poszło wolną stępą. Powróz się wytężył, uczułem, że ciało moje poruszyło się z miejsca, i za chwilę potém

doświadczałem nieopisanéj radości, widząc się wydobytym z piasczystego grobu, który się już tak z bliska do mnie uśmiechał. Wydałem okrzyk radości. Rzuciłem się na mego konia, objąłem go za szyję, i ściskałem z taką rozkoszą, jakby najpiękniejszą dziewczynę. On ze swéj strony odpowiedział na te pieszczoty krótkim, urwanym głosem żałosnym, i widziałem, że mię zrozumiał.

Począłem szukać méj strzelby. Na szczęście nie była jeszcze bardzo głęboko i mogłem ją z łatwością odkopać. — Wprawdzie i buty zostały mi były w piasku, ale nie myślałem się bawić nad niemi. Miejsce w którém je zgubiłem, przejmowało mię głębokim strachem.

Niemieszkając zatém, porzuciłem brzegi arrayo, siadłem na konia, i pocz wałowałem ku drodze.

Już słońce zaszło, kiedy przybyłem do obozu, gdzie mię zarzucili pytaniami zdziwieni towarzysze: „Cóż? dużoś tam kóz nastrzelał? — A gdzieżeś ty podział buty? Gdzież ty byłeś? na polowaniu, czy na rybach?“

Na te wszystkie pytania odpowiedziałem opowiadając moję przygodę, i téj jeszcze nocy zostałem bohaterem biwaku.

KOMEDYA.

DRAMAT
Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 33. 34. Rozmaitości.)

Sceny 2. (Koniec.)

Sekretarz *(do Basi z ironią).*

Ja się zapominam!
Prawda pani!? przepraszam! Między uczciwemi
Dla mnie miejsca już nie ma! *Tego to*, przed nimi,
Ja jakby okradziony!
(pokazując na prezesa)
On tak mię obrukał!
Poczernił! oplugawił! Że dziś będę szukał
Po turmach godnych siebie!
(z żalem)
Serce mi się kraje!
Bo przesiąkłem nim strasznie! Gdy przed lustrem (staję,
Widzę, żem mu podobny, *tego to*,
(z komiczną rozpaczą)
Ot proszę!
I te: *tego to* nawet, to jego ślad noszę!
On na mnie swém *to tego* zblakował w rozmowie!
I ja, jak fixat, głupiec, powtarzam przysłowie.
O! sam sobą się brzydzę!
(do Lidii smutnie)
Prawdziwie! Wié pani,
Że ja, com mniemał tyle wdzięczności mieć dla (niéj,
Nie śmiałem jéj dziękować, ni do niéj się zbliżyć,
Ni spojźrzéć, by spojźrzeniem mojém nie ubliżyć
Pięknéj duszy i sercu!
(pokazując na prezesa)
To jego robota!
(z żalem i rozpaczą)
Wszystko, co czarne we mnie, ile tylko błota
W mém życiu, jemum winien! A państwo nie (wiecie,
Jak się można zarazić! Kiedy bieda gniecie,
I popycha i kusi! A szatan potrąca
I wskazuje byt znośny, lub nędzę bez końca!

Lidia *(z cicha)*.

Biédny człowiek!

Sekretarz.

Dziękuję! o! dziękuję pani!
O! za to jedno słowo, w ogień skoczę dla niéj!

(spokojniéj do prezesa)

A Jaśnie Wielmożnego Pana żegnam teraz.
Choć mi pan prorokował tak stanowczo nieraz,
Że zakończę na stryczku! Bo nic do stracenia
Ja nie mam: ani wiary, ni czci, ni sumienia!
Choć przez pana winienen podłości nie jednéj,
Dziś wiem: że nie łotr jestem, ale człowiek bié-
(dny!

(do Lidii)

Pani to powiedziała, a ja, aż wyrosłem!
Przepraszam, że się przed nią tak bardzo unio-
(słem,
Ale i biédni czują! Jeśli żal co znaczy,
Żałuję i powiadam:

(pokazując na prezesa)

Niech mu Bóg przebaczy!

(po chwili milczenia)

Idę teraz, gdzie? Niewiem.

(zabiera się ku wychodowi)

Prezes *(pół głośno)*.

Ruszaj na złamanie
Karku!

Henryk *(podaje rękę sekretarzowi)*.

Idź do mnie! proszę! Wiesz gdzie me mieszkanie?

(Sekretarz podaną rękę ciśnie, nagle całuje ją i wybiega.)

Scena 3.

Ciż sami bez Sekretarza.

(Wszyscy zaambarasowani, zostają jakiś czas w milczeniu. — Lidia z zeszytem w ręku, stoi boleśnie zamyślona. — Basia i prezes spoglądają na siebie niespokojnie. — Marszałek szuka kapelusza i czeka sposobnéj chwili, aby się wymknąć. — Henryk w głębi sceny, zbliża się przy pierwszych słowach Lidii.)

Lidia.

Z kim jestem? Co mię tutaj okropnego czeka?

(pokazując na prezesa)

To wuj!

(na Basię)

To krewna blizka!

(wstrząsając zeszytem)

A to, ich opieka!
On nazywał się ojcem; ona siostrą lubą!

(z boleścią)

Miłość ojca i siostry miała mi być zgubą!
To okropnie, okropnie!

Prezes *(do Lidii)*.

To tego, me dziécię.
Jeszcześ zanadto młoda. Nie wiesz, że na świecie,
Co złém się nam wydaje, a dobre jest potém.
Późniéj, ze krwią zimniejszą pogadamy o tém.

(do marszałka)

Pana, przepraszam bardzo, że głupim wypad-
(kiem
Téj nieroztropnéj sceny, musiał pan być świad-
(kiem!
Na osobności panu ja tę rzecz wyjaśnię!

(marszałek sunie się ku drzwiom, a prezes mówi do Henryka)

(z ironią)

Pan, co taki litośny, masz powody właśnie,
Zająć się niegodziwcem. Musisz pan się śpieszyć,
By łzy jemu ocierać, wspomagać, pocieszyć?
A więc, nie zatrzymuje. On na pana czeka;
Niezatrzymuję pana!

Henryk *(spostrzegłszy, że marszałek chce wychodzić, nie odpowiada prezesowi, ale zatrzymuje marszałka)*.

Niech pan nie ucieka!

Dutkiewicz *(z powagą)*.

Mój panie!

Henryk *(spokojnie)*.

Cóż, mój panie?

Dutkiewicz.

Dziwię się, dlaczego
Pan chcesz mię tu zatrzymać?

Henryk.

Mam powód do tego.

Dutkiewicz.

Téj racyi nie pojmuję?

Henryk.

Tak, jak wiele rzeczy!
Niepojętności panu nikt tu niezaprzeczy!

Prezes *(do Henryka)*.

Tego to, bardzo pięknie! Jakto? W moim domu?

Henryk.

Cóż daléj? W moim domu?

Prezes *(poważnie).*
Uchybiać nikomu
Nie pozwolę! Nie lubię hałasu i krzyku!
Henryk *(z oburzeniem).*
Jak pan śmiesz się odzywać!
Lidia *(do Henryka)*
O! panie Henryku?!
(Henryk usuwa się w milczeniu. — Lidia mówi do prezesa)
Prawda! Przed chwilą jeszcze nadto młoda by-
(łam;
Lecz przez te pół godziny, ja lata przeżyłam.
Dzięki wam, jużem wyszła z mych marzeń od-
(mętn.
Serce krzepnie ze wstydu, dusza drży ze wstrętu;
Nie dziwię się, gdy ujżrzę me włosy zbielałe!
Struliście przeszłość moją i me życie całe!
(z ironią)
W najrozsądniejszych ludzi znakomitém gronie,
Mam prawo, dziś głos zabrać, bo chłód ze mnie
(wionie!
(po chwili milczenia)
Skrywać co, lub się srożyć, już nie ma przyczyny.
Możem mówić otwarcie, jak pośród rodziny.
Wszyscy zostać winniśmy, choć z powodów ró-
(żnych.
(coraz bardziéj unosząc się)
Dosyć zdrad i tajemnic i wybiegów próżnych!
Ze zwyczajnych kolei gwałtownie wyrwana;
Chcę! Żądam!
(spokojnie do prezesa)
Proszę wuja!
(do Basi)
I panią!
(do marszałka)
I pana!
(do Henryka)
Zwłaszcza pana! By zostać tu raczyli wszyscy!
(do prezesa i Basi, ze smutkiem)
Wam piérwszeństwo. Niestety! wy moi, wy
(blizcy!
Cóż wam winna sierota, że tak bez litości
Targaliście jéj serce? Z rachuby, z chciwości;
Nawet nie wiem już z czego! Z krwią zimną kra-
(marzy,
Na każdą świętość uczuć, okropnéj potwarzy
Nałożyliście maskę! O cóż wam chodziło?
Mój posag? Me pieniądze? Ależ trzeba było
Otwarcie ich zażądać? Z rozkoszą, z radością,
Wszystkobym wam oddała, by zostać z ufnością,
Z wiarą w ludzi szlachetność, w wasze przywią-
(zanie!
(do marszałka)
I pan, z jakich powodów,
Dutkiewiez.
Ja pani?
Lidia.
Tak panie!
Chciałeś kupić sierotę.
Dutkiewiez.
Niech pani pozwoli.
Lidia.
Czyn pana mię zasmuca; lecz wcale nie boli.
(z ironią)
Nie mężny handlarz z pana: targ odbył w skry-
(tości.
Dutkiewicz.
Ja tak mało winienem!
Lidia.
A! nawet śmiałości
Nie masz pan swoich czynów! Nie pojmuję tego.
Spojżrz pan na moją krewną i na wuja mego;
On, zawsze godny, nigdy niczém nie wzruszony!
Ona, szydercza, zimna!
Dutkiewicz *(na stronie).*
Muszę być czerwony
Jak burak! Djabla sprawa!
Basia *(do Lidii z szyderstwem).*
Zabawka malowania portretów skończona:
Każden z nas żywcem zdjęty! Rzecz to dowie-
(dziona,
Pojętna, nieodmienna, dowcipna i miła,
Przyjemna i pocieszna! Lecz jeszczeby była
Przyjemniejszą i milszą; gdyby się skończyła.
Przyznam się, to mię nudzi!
Prezes *(do Lidii).*
To tego, zaiste!
Z twéj strony zapomnienie, tak, tak, oczewiste.
Chybiasz mi, chybiasz siostrze, chybiasz mar-
(szałkowi!
Za wiele na tak młodą. Nie wiem co świat powie?
Byłem dotąd cierpliwy.

(Dokończenie nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.